TYGODNIOWY
PRZEGLĄD LITERACKI
KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II Nr. 3 151 East 67 Street, New York, N.Y. 15. I. 1942

Noworoczne wezwanie do zgody.

To chyba nie tylko przypadek, że osnową dwu naczelnych arcydzieł polskiej poezji: epickiej i komedjowej, jest - kłótnia. Zarówno w "Panu Tadeuszu" jak i w fredrowskiej "Zemście" dobrzy i zacni Polacy kłócą się na umór z dobrymi i zacnymi Polakami. Przedmiot obu tych zwad jest raczej błahy, ale w obu wypadkach chodzi nie o przedmiot sporu, lecz o sam spór, o kłótnię w jej niejako metafizycznej postaci, o grę, w której partnerzy wyżywają się bez reszty, pokazując na co ich maksymalnie stać. Kłótliwość wydaje się być naszą cechą reprezentacyjną, uderzającą nietylko rodzimych obserwatorów, ale niestety i obcych. W jednym z najwybitniejszych dzieł beletrystyki XX w., w "Górze czarodziejskiej" Tomasza Manna, występuje grono Polaków na tle bohemy monachijskiej przed pierwszą wojną światową. Ci intelektualiści nic innego nie robią, tylko się kłócą i toczą w nieskończoność homeryckie "sprawy honorowe". Nie trzeba być ani Mickiewiczem, ani Fredrą, ani Tomaszem Mannem, aby w kłótliwości naszej ujrzeć coś, co przekracza granice normalnych ludzkich popędów. Kłócimy się nie z konieczności, lecz z zamiłowania. Kłótnia - to jakgdyby nasz narodowy sport, narodowa przyjemność, nieomal świętość, której nie wolno szargać. Mimo to, pozwolę sobie ją trochę poszargać, jako człowiek notorycznie niewrażliwy na tę rozkosz.

Kłócimy się wszędzie, nawet w najmniej odpowiednich okolicznościach i warunkach. Słyszałem od osób wiarygodnych, że nawet w czasie bombardowania Warszawy zdarzały się kłótnie - po piwnicach. W jednej z takich piwnic pewna dama ciężkich obyczajów zwymyślała damę lekkich obyczajów, za to, iż ta odważyła się schronić w tej samej piwnicy. Przed wojną kłócili się u nas mniej więcej wszyscy. Niektórzy nawet jeździli w tym celu z miasta do miasta, wydawali pieniądze, wynajmowali lokale. Były to tak zwane zjazdy i kongresy. Na terenie politycznym kłócili się starzy z młodymi, staroendecy z młodoendekami, starosanatorzy z neośmiglikami, wileńskie żubry z krakowską konserwą, neostarozakonni ze starostarozakonnymi, starorypińscy z młodorypińszczakami, prozelici z antyzelitami, nekrofile z bibljofilami, germanofile z Teofilami. Strach pomyśleć, coby się w Polsce działo, gdyby obecna wojna wybuchła o dwa lata później. Wszyscyby się wzajemnie pożarli i nicby nie zostało dla wroga. Ale żarty na bok, chociaż na frasunek - dobry i żart. Zwłaszcza w tym smutnym uchodźczym karnawale.

Wieści dochodzące z udręczonego kraju są zgodne w tem, iż wspólna niedola pojednała zwaśnionych rodaków. Niestety na emigracji jest tak jak było w kraju przed wojną. Polacy, którzy tak wspaniale umieją znosić wszelkie nieszczęścia, głód, nędzę i samotność, jednej tylko rzeczy znieść nie mogą: zgody. Niech tylko, choćby na ostatecznym krańcu globu, zbierze się garstka rodaków, natychmiast, jak Anglicy do bridża, zasiadają do kłótni. Wszystko jedno o co. W braku innych powodów wynajdujemy tak przepięknie zwane "światopoglądy". I znów ten nie rozmawia z tamtym, ów przestaje się kłaniać innemu, inny nie podaje ręki czwartemu, choćby tą ręką dzielił z nim wczoraj ostatni kawałek chleba. Przeszli wspólnie trzydzieści zielonych granic, szczęśliwie dotarli do miejsc bezpiecznych ale po pierwszej wygodnie przespanej nocy, doszli do przekonania, że wczorajszy towarzysz niedoli należy właściwie do nierogacizny. Jesteśmy wielkimi specjalistami od zrywania tak zw. stosunków towarzyskich, wirtuozami wtykania szpilek poniżej pleców, genjuszami t.zw. spławiania, wylewania i utrącania. Ile energji zużywa się u nas rocznie na tak zwane we Lwowie pyskówki, ile świetnych talentów zmarnowało się pośród nikomu żadnego pożytku nie przynoszących waśni! W błędzie są ci, którzy uważają, że kłótnia jest formą walki. Kłócą się przeważnie tylko ci, którym brak sił do prawdziwej i bezinteresownej walki, mającej przynieść owoce dla ogółu. Czy warto było kłócić się o stary zamek w Soplicowie, o Kusego i Sokoła, o mur graniczny? Owszem, gdyż bez kłótni Sopliców z Horeszkami, a partji Rejenta Milczka z partją Cześnika Raptusiewicza, polska literatura i polski teatr byłyby zubożone o dwa utwory, zgodnie uznane za arcydzieła przez naród, stroniący od zgody jak od zarazy.

Zostawmy kłótnie literaturze, która bez nich byłaby mdła i nużąca. Bez zwady Montecchich i Capulettich nie byłoby na świecie innego arcydzieła sztuki dramatycznej i nie byłoby tragicznej miłości Romea i Julji. Ale kto zna Weronę, nie zauważył, iż cechą charakterystyczną mieszkańców tego pięknego miasta jest kłótnia.

A więc:

"Zgoda! .... Zgoda!
A Bóg wtedy rękę poda!"

Tylko, na miłość Boską, nie wszczynajmy znów kłótni o to, którą rękę: lewą, czy prawą?

Józef Wittlin.

Kapitan Colin Kelly.

Wszyscy z nas widzieli w pismach w parę dni po wybuchu wojny fotografję młodego człowieka o uśmiechniętej, szczerej, otwartej twarzy, która nie może mylić, która mówi o duszy czystej i szlachetnej: to kapitan Colin Kelly, pierwszy bohater amerykański tej wojny. Bohater to znaczy człowiek, który własną wolą wybrał niebezpieczeństwo, który z wolnej woli poświęcił swe życie, który dokonał wielkiego czynu i opłacił go śmiercią nie dlatego że tak musiał uczynić, ale dlatego że tak uczynić sam postanowił. W tej wojnie maszyn, w tem potwornem starciu się ruchomych fortec, gdzie człowiek,zdawałoby się, jest niczem a wszystkiem matematyczny rachunek samolotów i tanków, słowo "bohaterstwo" jakby zeszło z ust ludzkich, ze szpalt dzienników; po wojnie polskiej mówiło się prawie z litosnem pobłażaniem o bohaterstwie polskiego żołnierza, który z butelką benzyny rzucał się na tanki.

I otóż jak wszędzie gdzie idzie o być lub nie być jednostki ludzkiej czy jakiejś idei, gdzie grą jest życie i śmierć - tak i w tej wojnie niema zwycięstwa bez bohaterstwa, bez dobrowolnego poświęcenia, bez owej indywidualnej decyzji żołnierza.

Państwo, które niema dość samolotów, dość tanków, którego żołnierz idzie z karabinem na zmotoryzowane pułki musi przegrać tę wojnę - ale nie wygra jej żaden najbardziej zasobny w motory i bomby naród, choć by zamknął się cały w śmiercionośnych i wyścigowo szybkich fortecach - jeśli jego żołnierze nie będą bohaterami, jeśli nie będą zdolni dobrowolnie wybrać śmierci nad niesławę i niewolę.

Wielki, wspaniały, w którego wierzymy że się odrodzi i znów zabłyśnie naród francuski - miał najpotężniejsze fortece Europy, największe zasoby aby zbudować armadę powietrzną nie do pobicia, pyszną tradycję wodzów i żołnierzy - a przecież uległ, co tu mówić, niemal bez walki, pogrążył się w poddaństwo, oddał w nędzę i poniewierkę - dlatego tylko, że przestał wierzyć w bohaterstwo, że przestał odwagę stawiać na czele wszystkich cnót ludzkich, odwagę, o której pięknie powiedział jeden dawny pisarz polski, że "może przeważyć niedostatek wielu cnót, ale wszystkie cnoty razem połączone nie są zdolne zastąpić jej niedostatku".

Dlatego, nie wątpiąc ani chwili, że państwo tak potężne jak Stany Zjednoczone może wystawić armję powietrzną, zbudować armję tanków, o jakich nie zamarzyli Niemcy, że może zalać wrogów żelazem, że jest nietylko największem ale też najświetniejszem laboratorjum, z którego może wyjść zagłada Niemiec, - czekaliśmy przecież na pierwsze wieści jak zachowa się żołnierz amerykański tej osłony żelaza pozbawiony, jak spotka niebezpieczeństwo ów młody człowiek zasobny i szczęśliwy, a przez to skłonny do upajania się szczęściem, do ciągłej obawy, aby go nie utracić

Kapitan Kelly - jest nietylko odpowiedzią na to pytanie, ale jest zarazem symbolem tego ducha, który żołnierze amerykańscy, zaskoczeni przez wrogą napaść, nieprzygotowani, o ileż mniej do wojny zaprawieni niż żołnierze z Europy, okazali od pierwszej chwili, bijąc się w wielu punktach na przepadłe, bez żadnej nadziei utrzymania się, tylko dla dopomożenia innym, dla honoru, dla przykładu. Jego czyn jest wszystkim znany, jego imię przekazane przyszłości, jego rodzina - przedmiotem szczególnej opieki narodu amerykańskiego. Ale napewno jest on tylko jednym z wielu i oddając hołd jego pamięci, naród amerykański i my wszyscy, walczący o wspólną z Ameryką sprawę, myślimy o iluż innych amerykańskich poległych, o iluż odważnych, o iluż zagrożonych a po bohatersku spełniających swą służbę.

I myślimy także o tej fotografji, na której pokazano nam zgromadzoną przy portrecie poległego kapitana jego rodzinę: matkę, żonę i małego synka, o fotografji, która tak samo nie może mylić jak fotografja kapitana Kelly powiedziała nam prawdę o jego szlachetności i odwadze. Te dwie panie, dotknięte najcięższem jakie może człowieka spotkać nieszczęściem - znoszą je tak jak znosić je powinny najdroższe bohaterowi istoty - z głębokim smutkiem, ale z poczuciem, że godność ludzka, która kazała ich synowi i mężowi oddać życie - każe im zrozumieć to bohaterstwo, ukryć swój ból, pracować bez skargi. Patrząc na nie przypominamy sobie jakże podobne fotografje, które nadchodziły z Londynu po pierwszym bombardowaniu i z których bardziej niż z komunikatów wojennych dowiadywaliśmy się prawdy o Anglji i czerpali wiarę, że przetrwa ona najcięższe chwile i doczeka się od siebie samej czy od innych pomocy.

Pomiędzy tyloma różnicami temperamentów, odruchów i kultury, stanowiącemi o odrębności narodów, jak światła ukazujące samą głąb ludzkiej duszy - snują się więzy wspólnych - różnym narodów cnót, nacodzień ukrytych i ujawniających się tylko w najważniejszych chwilach. Czyn kapitana Kelly, bohaterstwo wojsk dzielnego generała Mac Arthura - są ta-

ką właśnie więzią, która czyni naród amerykański bardziej zrozumiałym, bliższym i droższym wszystkim narodom walczącym za wolność.

Jan Lechoń.

Róża wiatrów.

Znalazłem starą mapę Jawy i Sumatry:
Leśne puszcze i rzeki, łodzie, stada słoni,
Garść wyspy i ogromny ocean koło niej.
W dole, w rogu śpi róża, gwiezdny bukiet, wiatry.

Z mimicznych znaków świata, z naiwnej legendy
Jakże blisko do serca i jak często każdy
Pod niebem Conradowskiem własnej szuka gwiazdy
I płynąc chciałby z wiatrów odgadnąć którędy.

Podróżni po bezmiarach, w łodzi byle jakiej,
Pod żaglem podniesionym albo i bez żagla
Błądzimy niecierpliwie, śmierć wciąż nas ponagla,
A wybrzeża ojczystej nie widać Itaki.

Cóż nam z tych dróg, z pościgu, z upartej wędrówki,
Po której tylko w oczach natężonych boli?
Na mapie leży przestrzeń i strzała busoli,
Magnesem zaświatowym zmącone wskazówki.

Sprzyjaj nam, różo wiatrów, twój znak niech nas chroni,
Odnotuj wschód i zachód i wszystkie podmuchy,
Pomóż mi znaleźć w nocy bezludnej i głuchej
Garść mej wyspy i wielki ocean koło niej.

Kazimierz Wierzyński.

Dzisiejsza wojna w "Sułkowskim" Żeromskiego.

Józef Sułkowski, który, jako młodziutki porucznik, zostaje odznaczony pierwszym w historji Virtuti Militari krzyżem tego orderu za bohaterską obronę z oddziałem pięciuset żołnierzy, mostu na Zelwie koło Słonima przeciw całemu korpusowi rosyjskiej armji Fersena; Józef Sułkowski, kapitan francuskiego sztabu, o którym Łazarz Carnot, minister wojny republikański, jest tak wysokiego mniemania, iż nie waha się oświadczyć: "Jeżeli stracimy Bonapartego, mamy gotowego wodza w Sułkowskim"; Józef Sułkowski, którego genjusz wojenny do tego stopnia imponuje Napoleonowi, iż, tłomacząc się z nienadania wyższej szarży majorowi Sułkowskiemu, swojemu adjutantowi, powiada: "Nie awansowałem Sułkowskiego, bom odrazu w nim dostrzegł wszystkie przymioty wielkiego wodza"; Józef Sułkowski, który, jako 27-letni brygadjer, ginie rycerską śmiercią pod Kairem, rozniesiony na szablach przez ukrytych w zasadzce powstańców arabskich; Józef Sułkowski, któremu Francja oddaje cześć, uwieczniając jego nazwisko - siedem nazwisk Polaków, jedynych cudzoziemców - na murach paryskie-

go Łuku Triumfalnego, monumentalnego pomnika wojennej chwały napoleońskiej; Józef Sułkowski, mówiący sam o sobie z wspaniałą dumą: "W istocie jestem kondotierem, kondotierem wolności", jest główną postacią dramatu, w którym Żeromski wznosi na wyżyny narodowej epopei długie i krwawe dzieje ideowego pielgrzymstwa polskiej szpady po najsławniejszych polach bitewnych całego świata.

Dziś, kiedy Żołnierz Polski znów jest "błędnym rycerzem", walczącym o swoją Ojczyznę pod Narwikiem i pod Tobrukiem, na wybrzeżach Francji i na śniegach Moskwy, w przestworzach powietrznych Anglji i w głębinach Śródziemnego Morza, dziś słowa, któremi przemawia Sułkowski Żeromskiego, mają ostry dźwięk pobudki bojowej, spiżowy ton rozkazu Wodza, natchniony styl proroczych wizji - dziś, jak niegdyś, pada hasło: "Powiedz im, niech biją w ścianę niemiecką. Ściana niemiecka, między tobą i twoją drogą"; dziś, jak niegdyś, daleka to i śmiertelnie bolesna droga: "Sztuką naszą wojenną wybijemy w skale drogę i wrota do naszej wolnej ziemi. Krew nasza pociecze w obce skały, piaski i gliny od wielkiej nędzy i od najtwardszej z prac. Będziemy się walić w cudze rowy i słać po obcych drogach, ale dojdziemy!"; dziś, jak niegdyś, wierzy polski żołnierz, że "droga wojny usłana jest ruinami i wzgórzami trupów. Ale na tych szlakach, któremi ona ciągnie, zazielenią się nowe zboża, wykwitną nowe łąki".

Daje też odpowiedź Sułkowski Żeromskiego na pytanie, którem - dziś, jak niegdyś - krwawi się dusza całej Polski: "Cóż ma uczynić naród nieszczęśliwy, który nie ma sił i środków, ażeby natychmiastowe odnieść zwycięstwo?". Daje on odpowiedź, brzmiącą jak wojskowy nakaz: "Winien się nieustannie ćwiczyć we wszystkiem, coby czynił, gdyby był wolnym. Kto chce kiedyś pokonać wroga, musi się dziś uczyć sztuki być wolnym w duchu. Każdy człowiek i każdy naród musi najprzód uwierzyć w siłę swej duszy i w niezłomne jej prawa, a następnie ćwiczyć w sobie żądzę wolności i wytępiać zarazę niewolnictwa".

Dziś, jak niegdyś, wróg nietylko zabija żołnierzy polskich na polu bitwy, ale "wyrzyna do nogi mężczyzn, kobiety i dzieci" - popełnia zbrodnie, które wołają o bezwzględny odwet. Zapowiada jednak Sułkowski Żeromskiego: "Ażeby wziąć za to odwet, trzeba najprzód posiąść sekret odwetu. Można go posiąść tylko wśród niebezpieczeństw". Posiąść ten sekret można jedynie kosztem najcięższych ofiar, największych wysiłków, najzaciętszych walk - ofiar, wysiłków i walk nieuniknionych, koniecznych. Bez nich niema możności powrotu do Polski wolnej. Zna Sułkowski ten twardy i nieunikniony mus, bo mówi: "Powrócę do Polski wówczas dopiero, gdy się nauczę prowadzić wojnę w najcięższych warunkach, ze wszelkim wrogiem", tem tłomacząc swoje postanowienie wzięcia udziału w dalekiej wyprawie do Egiptu.

Dziś, jak niegdyś Sułkowski, ginie Żołnierz Polski w piaskach Egiptu. "Kto chce zdobyć swoje swobodne życie, ten je zdobędzie. Ale za swoje swobodne życie trzeba umieć bez żałości podłego życia umierać. Śmierć za swobodne życie stokroć jest lepsza, niż podłe życie w niewoli. Taka śmierć to już jest życie swobodne. Prawda, czy nie?".

I dziś, jak niegdyś polscy grenadjerzy epopei napoleońskiej, odpowiedzieć mają prawo strzelcy, lotnicy, marynarze polscy obecnej wojny: "To jest żołnierskie słowo. To jest prawda". A prawo taką właśnie dać odpowiedź zdobyli oni sobie, czyniąc przed zwycięskim powrotem do Polski - "pola bitew o wolność swoją ojczyzną". Dziś, jak niegdyś...

Zygmunt St. Klingsland

Hodowla niewolników.

Zaskoczyło mnie to. Dlaczego zrobił wyjątek dla mnie jednego? I dlaczego teraz nagle skończyła się poprzednia uprzejmość?

-Ależ tam, panie poruczniku są ludzie w gorszym położeniu niż ja! -zacząłem gorąco tłumaczyć. Decyzja pana porucznika skazuje ich na utratę wszystkiego co mają, na nędzę...

-Nie mogę cofać rozkazu raz wydanego. Panowie macie tu do czynienia z niemiecką armją - oświadczył krótko.

-Ale panowie macie tam do czynienia ze starym muzykiem, z jego chorą żoną, z matką i jej półtorarocznym dzieckiem...

-Ja mam dokładne instrukcje, jak postępować - odpowiedział łagodniej - ale jeżeli tam są wypadki zasługujące na wyjątkowe uwzględnienie, -to ostatecznie...ostatecznie niech przyjdą tak samo jak pan...Przecie pan widzi, że jeżeli chodzi o mnie, to... - Zakończył gestem, mówiącym że bardzo współczuje i że zrobiłby wszystko możliwe.

-Wszyscy dziś zasługują, proszę mi wierzyć.

-Więc niechże już przyjdą wszyscy, trudno -roześmiał się. -Sam gram na fortepianie i sam mam dziecko, więc nie chciałbym robić krzywdy temu pianiście czy matce. Ale to już późno, więc niech przychodzą zaraz.

-Może lepiej jutro?

-Jutro święto i wyjeżdżam na cały dzień. Już umówiłem się.

Wyszedłem ucieszony, ale w dalszym ciągu nie wiedziałem, co to wszystko znaczy. Więc jednak wiedział o święcie? Dlaczego w takim razie udawał, że nie wie? I dlaczego nie może cofnąć rozkazu, a cofnie go, jeżeli przyjdą?

Nie łatwą jednak rzeczą było namówić lokatorów, żeby poszli. Było czystym szaleństwem tracić meble i ciepłe rzeczy, których sprzedaż była jedynym środkiem utrzymania, a jednak...

-Ja nie potrafię prosić Niemca. Nie potrafię i już - powiedziała krótko Marynia, w odpowiedzi na moje argumenty.

-A mnie kazała Marynia!

-Pan chodził mówić o wszystkich. To całkiem co innego.

-Ja też nie pójdę - poparł ją pianista.

-I ja nie - postanowiła matka. -Trudno. Wezmę na rękę dziecko, w tobołek ile udźwignę, a prosić nie będę.

-Ależ o proszeniu nie było mowy. Ja też nie prosiłem -twierdziłem bez wielkiego przekonania, jakoś jednak udało mi się nakłonić matkę groźbą choroby dziecka, muzyka - grą porucznika na fortepianie, a Marynię - bajką o jego dobrym sercu.

Poszli, po paru minutach jednak wrócili wściekli na mnie. Nie przyjął ich.

-Co się stało? Dlaczego nie przyjął?

Po dłuższej chwili milczenia wyjaśnił mi to pianista.

-Czekał na nas z zegarkiem w ręku pięć minut, a potem położył się spać. Tak powiedział żołnierz, który otworzył nam drzwi.

-I że jego wypoczynek jest ważniejszy od tego, co będzie z nami - dodała nauczycielka.

-Więc dlaczego kazał przychodzić, nie rozumiem...

-Ja żadnych książek o Niemcach nie czytałam - wybuchnęła Marynia - a rozumiem! Dlatego - że tak robi się z ludzi niewolników!

-Tak...-potwierdził nauczyciel - Żeby "rasa niższa" czuła, że zależy od łaski zwycięscy.

-I że sen zwycięscy jest ważniejszy od naszego życia.

-Kazał jeszcze powiedzieć temu żołnierzowi, że może przyjmie nas jutro, ale nie powiedział kiedy.

-Żeby my musieli przez cały dzień stojąć pod progiem i żebrać o łaskę, rozumie pan?

Zrozumiałem, że mieli więcej racji niż przypuszczali. Zrozumiałem, że zależało mu na rzeczy o wiele poważniejszej niż meble. Na wzbudzeniu w nas uległości ludzi pokonanych, którzy wszystko co mają zawdzięczają im, zwycięscom. Cała uprzejmość i życzliwość i współczucie i nieodwołalność rozkazu porucznika, i instrukcje, których musiał się trzymać, zmierzały do tego jednego celu - do wytworzenia w nas psychiki rasy niższej.

-Ale to się im nie uda - usłyszałem nagle cichy szept pianisty.

-O nie! Nie będziem stojąć pod progiem!

-Nie zrobi z nas niewolników!

I stała się rzecz dziwna. Były tylko dwie możliwości. Albo rezygnować z rzeczy, albo jutro iść do niego. Wybrano trzecią, której nie było.

Bez jednego słowa poszli wszyscy razem dźwigać wspólnymi siłami meble z mieszkań na dół. Skąd w tej gromadce rozbitków życiowych wzięły się siły do ciężkiej, całonocnej pracy tragarza? Kaszląca starowina, co ledwie trzymała się na nogach, zrobiła w ciągu nocy czterdzieści dwa razy drogę z parteru na piąte piętro i z powrotem, dźwigając ciężkie toboły.

Dziwne siły zjawiają się w człowieku, gdy broni swej godności człowieka.

Rano wszystkie rzeczy leżały w sieni, a przez cały dzień wędrowały dalej na plecach - na nowe miejsca tułaczki. Ciężary zbyt wielkie na siły tej gromadki skróciły sobie drogę na podwórze, omijając schody. Tam też wydał ostatni akord stary fortepian. Ale pianista obładowany tobołami opuszczał kamienicę jako wolny człowiek, a porucznik Gestapo napróżno czekał z swym dobrym sercem zwycięscy na prośby pokonanych.

Koniec

Antoni Cwojdziński

W rocznicę śmierci polskiego pisarza.

Dwa lata temu, 15 stycznia w Warszawie, w zbombardowanym mieszkaniu umarł, bo nie chciał żyć, Jan Lorentowicz, literat polski, członek Akademji Literatury, esseista, krytyk świetny, człowiek niezwykły, jedna z tych pięknych postaci Warszawy starego pokolenia.

Tak, Warszawy. Bo ileż razy przez Plac Teatralny przechodził spokojnym krokiem ten wyniosły, bardzo piękny pan, zawsze czarno ubrany. Sylweta jego była tak bardzo zżyta z Warszawą, z jej domami - dziś w ruinach -, że trudno sobie wyobrazić, iż nikt go już nie spotka na warszawskiej ulicy...

Całe swe życie Jan Lorentowicz spędził na pracy, przy biurku od szóstej rano do późnej nocy - na pracy i na umiłowaniu sztuki i Polski. Tak. Sztuki i Polski - bo takie było to pokolenie... Wypędzany po czterokroć ze szkół przez Moskali za pracę oświatową, trwał, uczył się, nie uginał, jak się nie uginają dziś dzieci bez szkół w kraju...

Jako młody student przyjechał do Paryża i tam, przymusowo, na wygnaniu, spędził piętnaście lat niezmiernie pożytecznych dla sprawy polskiej i dla polskiej kultury. Wówczas to, w czasie tej bujnej młodości redagował pismo niepodległościowe i marzył - przez socjalizm - o wolnoś-

ci. Po powrocie do kraju odsunął się od polityki i oddał się całkowicie literaturze i teatrowi. Pisał książki, studja, recenzje, a ogółem wydał 34 tomy. W wolnej Polsce prowadził teatry, a potem zmęczony, zamknął się w swej bibljotece i pomyślał pogodnie o spokojnej śmierci.

W ostatnich latach był jakgdyby poza życiem, dojrzale mądry, mrużył oczy, uśmiechając się z wielką wyrozumiałością na wszystko. Szła starość, bardzo zaszczytna, długa i piękna, która zdawała się być upragnionym ukojeniem po znoju twórczym. Ale przerwała ją wojna. Jan Lorentowicz nie mógł przeżyć na nowo niewoli. Nie uciekł z Warszawy. Umarł pewnego wieczoru patrząc na niebo zimowe przez wyrwę niemiecką w suficie, patrząc długo, uparcie, aż same opadły powieki.

Nie wiem, co widział. Może - tak jak to się mówi - widział całe swe życie w jednej godzinie, całe życie pracowite, jakże czyste i niezłomne, jakże dobre i polskie...

Ze wspomnień z jego młodości pragnę przytoczyć parę fragmentów z walki o Polskę, z końca ubiegłego wieku, z roku 1892-go. x/

"Na terenie międzynarodowym sprawa polska nie istniała. Traktowano ją w najlepszym razie jako komplikację "wewnętrzną" każdego z państw zaborczych. Francja w ciągu całego wieku wierna przyjaciółka Polski, od czasu paradoksalnego przymierza z Rosją, przestała wogóle odróżniać Polaków od Rosjan. Dawała nam gościnę, ale na żądanie ambasady rosyjskiej, każdy z nas mógł być wydalony z jej granic.

W takich warunkach, sojusznikami młodych rewolucjonistów, oddanych sprawie niepodległości, mogły być tylko elementy socjalistyczne w innych krajach. W r.1892 socjalna demokracja niemiecka była stronnictwem potężnem. Założona w r. 1869, musiała przez jakiś czas rozwijać się w podziemiach. Gdy zniesiono prawa wyjątkowe przeciw socjalistom, okazało się, że stronnictwo socjal-demokratyczne jest znaczniejsze, mocniejsze i liczniejsze, niż przewidywano. Do parlamentu w r. 1892 wybrano ogromną ilością głosów 44 socjalistów, którzy stanowili trzecią co do ilości grupę posłów niemieckich.

Redagowałem w owym czasie w Paryżu "Pobudkę", organ "Polskiej Gminy Narodowo-Socjalistycznej". Zwróciłem się do niektórych wybitnych działaczy socjalistycznych z zapytaniem, co myślą o sprawie polskiej? Odpowiedzi były naogół wykrętne, dowodzące braku zainteresowania się przedmiotem. Najbardziej charakterystyczną odpowiedź nadesłał mi przywódca socjalnej-demokracji niemieckiej, August Bebel. Odpowiedź ta brzmiała, jak następuje:

Berlin.dn.4.III.92.

Szanowni Towarzysze.

Otrzymałem pismo Panów z d.2 lutego r.b. Ucieszyło mnie ono, widzę bowiem, że wnioski zawarte w mowie mojej z dn.5 października 1891 r. o konieczności przywrócenia do życia Polski na nowych demokratycznych podstawach, znalazły uznanie Panów.

Według mego przekonania, emigracja polska zagranicą nie ma nic więcej do zrobienia, jak nawiązanie nici z ojczyzną, aby w małem bodaj kółku, wśród uciskanej i brutalizowanej ludności polskiej, szerzyć idee współczesnego socjalizmu. Wobec ogromnych trudności, jakie agitacja taka zwłaszcza w zaborze rosyjskim, napotyka, propaganda, poza wszelkimi środkami, wymagać będzie jeszcze gotowych do ofiar jednostek i dlatego zrazu obejmie bardzo małe koło współwyznawców; znaczenia jednak tej propagandy dla przyszłości nie należy niedoceniać. Doniosłą również wartość posiada będzie wciągnięcie do pracy przynajmniej tej części narodu polskiego,

---

x/ Jan Lorentowicz "Spojrzenie wstecz" nakładem Fund.Wyd. Leopolda Wellisza. Warszawa 1935. Rozdział p.t. "List Augusta Bebla."

która już to przebywa zagranicą, już to znajduje się w lepszych warunkach. Według mnie, oderwanie Polski od Rosji i odbudowanie jej w dawnej postaci przy pomocy socjalizmu - jest również kwestją bytu i życia samego socjalizmu, jego rozwoju i kultury. Na samorzutne odrodzenie się Rosji w obecnej chwili nie sposób jest liczyć; przeszkadza temu jej despotyzm, któremu sprzyja szybki przyrost ludności i olbrzymie obszary Rosji w Europie wraz z podbitymi krajami i uciskiem. Potęga Rosji może być skruszona przez odbudowę silnej i wielkiej Polski, popieranej żywo przez Europę zachodnią, która to Polska stanie się wtedy przedmurzem potęgi i siły Rosji. Ale w tym celu musi wyjść z Polski, jako jej pobratymczego narodu, ferment rewolucyjny, ażeby tam, wśród narodu rosyjskiego, jaknaj szerzej rozeszły się i przeniknęły idee socjalizmu i demokratyzmu. To też mojem zdaniem, Polska ma przed sobą wielką kulturalno-historyczną misję, w której poprzeć ją winni wszyscy ludzie, w tych zwłaszcza krajach, które hołdują ideałom socjal-demokratycznym. Polska - ażeby jej wartość poznała i oceniła Europa burżuazyjna - musi być na nowo powołana do życia przez proletarjacką Europę, żeby już bez żadnej obawy nowego ciosu mogła wypełnić swą misję historyczną.

W zakończeniu pragnę prosić Panów o nieogłaszanie mego pisma w prasie, gdyż w obecnej chwili nie chciałbym wywoływać żadnych sporów.

Z socjal-demokratycznem pozdrowieniem

A. Bebel

Zastrzeżenie Bebla, aby listu jego nie ogłaszać "w prasie", zniszczyło, niestety, racje mojej w stosunku do niego ankiety. Dziś dopiero przekład tego listu podaję do wiadomości publicznej, jako dokument historyczny. Nie spełniły się przewidywania Bebla, że Polska będzie na nowo powołana do życia "przez proletarjacką Europę". Nie mógł również znakomity przywódca przewidzieć, że w piętnaście lat po "wojnie ludów", z które wyszło odrodzenie Polski, potężna socjal-demokracja niemiecka znowu będzie zmuszona zejść do podziemi konspiracyjnych. Oceniał tylko słusznie znaczenie bojowych poczynań rewolucyjnego socjalizmu polskiego, z którego wyszły nasze kadry niepodległościowe, poprowadzone do odzyskania wolności przez Komendanta. Nie dałem za wygrane. W następnym roku /1893/ odbywał się w Zurichu międzynarodowy kongres socjalistyczny. Zjawiłem się na nim, jako wysłannik naszej "Gminy Narodowo-Socjalistycznej". Zobaczyłem cały komplet prowodyrów socjalnej demokracji niemieckiej. Przewodniczył obradom poseł do parlamentu, sprężysty P. Singer który utrzymywał dobre stosunki z niektórymi delegatami polskimi. Przyszło mi na myśl, że należy spróbować, czy nie da się w jakikolwiek sposób poruszyć sprawy polskiej na kongresie. Chociaż byłem bardzo niedoświadczonym i młodziutkim "politykiem", zdawałem sobie jasno sprawę, że taka dywersja na kongresie międzynarodowym nie może dać wyników pozytywnych. Zdawało mi się jednak, że skoro Bebel zapewnia, iż przyszłość Polski mieści się w przyszłości socjalizmu, więc jakaś najbardziej niewinna deklaracja kongresu w tym przedmiocie, może szerokiem echem roznieść się po świecie, co będzie przecież zdobyczą niewątpliwą. Zacząłem nakłaniać najwybitniejszych delegatów polskich, abyśmy zorganizowali poza kongresem większe zebranie dla pomówienia o naszych sprawach. Projekt mój zyskał uznanie. Zebraliśmy się w wielkiej piwiarni zurichskiej w dość licznej gromadzie. Przybyli wszyscy delegaci galicyjscy z Daszyńskim na czele, przybyła grupa "Przedświtu londyńskiego /Mendelsohn z żoną, Witold Jodko, Jędrzejowski, Dębski/; następnie: Edward Abramowski, Z. Pietkiewicz, Z. Balicki, wreszcie - dość liczna kolonja polska z Zurichu. Przewodnictwo zebrania objął Z. Balicki. Wyłożyłem z zapałem mój projekt i wywołałem długą i dość burzliwą dyskusję. Zgromadzenie podzieliło się na dwie części: jedna popierała mój wniosek, druga - zwalczała go ze względów taktycznych. W głosowaniu zostałem pobity dwoma głosami większości: przyjęto wniosek przewodniczącego, że "po-

ruszenie sprawy na kongresie nie jest aktualne"... Wróciłem do Paryża mocno rozgoryczony. "

Stare pokolenie literatów nie może znieść po raz drugi niewoli. Umierają tam ciągle -jak umarł Lorentowicz,Tetmajer,Berent i inni...

Irena Lorentowicz

Polski Plutarch.

Polskiej propagandzie na terenie państw anglosaskich przyszło w sukurs dzieło ze wszech miar znamienite.Jest to spory tom życiorysów wielkich mężów polskich, napisanych w języku angielskim przez grono specjalistów. Wydany przez poważną nowojorską firmę wydawniczą,stanowi chlubny owoc inicjatywy i wysiłków zasłużonej Fundacji Kościuszkowskiej,czyli oddanego jej żarliwie dyr.Mierzwy.Pojawienie się na rynku wydawniczym książki "Great men and women of Poland"należy powitać z radością, bo przecież dziś właśnie informowanie Anglosasów,czem jest kultura polska,ma ogromne znaczenie polityczne.Pozatem poprzez to dzieło uda się zbudzić większe zainteresowanie dla kultury polskiej wśród młodzieży naszej w Ameryce, która,powiedzmy to szczerze,aczkolwiek przeważnie mówi po polsku,odwykła od czytania książek polskich.

Plutarchowa koncepcja tego dzieła musiała oczywiście nastręczyć olbrzymie trudności. Mechanistyczne założenie,że książka może zawierać tylko 30 życiorysów,niezbędne może dla względów technicznych,musiało doprowadzić do niedostatków,zniekształcających obraz i ciągłość naszej kultury.Również zasada wyboru zdaje się być wątpliwą.Redakcja bowiem przeprowadziła przed wojną ankietę wśród polskich instytucji naukowych,a o tym, czy dana postać była uwzględniona lub poniechana - decydowała przeważnie większość głosów.Redakcja wyrzekła się w ten sposób prawa organizowania całości pod kątem jednej myśli przewodniej.Również tak nieuchwytne i subjektywne kryterjum,że ów był "większy" od tamtego - musiało spowodować pominięcia..Trudno więc pogodzić się z faktem,że nie ma w tym zbiorze Krasińskiego,którego "Nieboska komedja",tłomaczona prawie na wszystkie języki świata,ma charakter uniwersalistyczny i jest najbardziej zrozumiała dla innych narodów. Brak Żeromskiego pozbawia czytelnika tych źródeł ideowych,z których całe pokolenie czerpało swoje etyczno-społeczne aspiracje.Niema między innymi w tym zbiorze Batorego i tak rasowo polskiego kompozytora Moniuszki.

Pisane przez różnych autorów,dzieło to musiało wykazywać nierówności. Kapitalnie napisane,wytrawnie podmalowane historycznie są życiorysy Chrobrego i Modrzewskiego pióra Prof.Haleckiego.Barwnością stylu literackiego oraz poetycką intuicją psychologiczną wyróżnia się studjum o Królowej Jadwidze Charlotte Kellog.Do tej kategorji udanych prac należy zaliczyć większość szkiców,a więc również Dybowskiego o Conradzie,Mierzwy o Piłsudskim,Kridla o Mickiewiczu,Colemana o Słowackim i Mitany o Wyspiańskim. Pewne zastrzeżenia,szczególnie gdy chodzi o pominięcie sensu ideowo-politycznego "Odprawy posłów greckich"-musi nasunąć szkic o Kochanowskim.Najmniej udatną jest praca o Koperniku,napisana oschłym stylem życiorysowym. Z życia Modrzejewskiej dowiadujemy się,gdzie podróżowała,gdzie otrzymała kwiaty,natomiast prawie nic o jej sztuce aktorskiej.Osobliwe zastosowanie mentalności reporterskiej do wielkiej artystki.

Powyższe zastrzeżenia krytyczne są jednak niewspółmiernie małe wobec olbrzymich zalet książki."Great men and women" czyta się jednym tchem,z żywym zainteresowaniem.W czytelniku musi zbudzić się wdzięczność dla Fundacji Kościuszk.i pragnienie,by książka doczekała się rozpowszechnienia. Tym bardziej,że wydana jest graficznie starannie,zaopatrzona w portrety i reprodukcje malarstwa polskiego.Prof.Mierzwie należy powinszować tak trafnego i poważnego posunięcia propagandowego.

Zenon Kosidowski